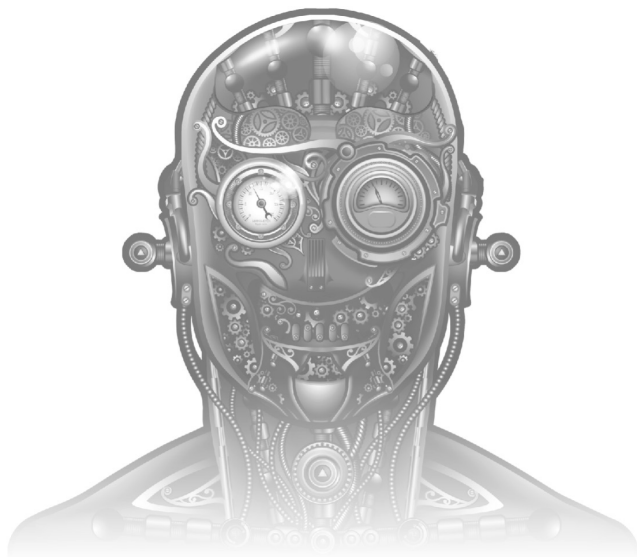


Przedksiężycowi



Anna  
**Kańtoch**

**Przedsiębiorcy  
III**



**powergraph**

Warszawa 2013

Copyright © 2013 by Anna Kańtoch  
Copyright © 2013 by Powergraph  
Copyright © 2013 for the cover by Rafał Kosik  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Michał Cetnarowski i Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Ilustracja na I okładce: Rafał Kosik i Adelevin  
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01  
www.olesiejuk.pl, e-mail: [fk@olesiejuk.pl](mailto:fk@olesiejuk.pl)



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26  
[powergraph.pl](http://powergraph.pl), [sklep.powergraph.pl](http://sklep.powergraph.pl), e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

**ISBN 978-83-64384-01-1**

Printed in Poland, EU





**Część I**  
**Co trzeba zrobić**  
**w ostatnich dniach**





## Finnen

Zabraliśmy Chirę do dzielnicy zmarłych w dzień, który nastął po wyjątkowo śnieżnej nocy. Warstwa zmrożonego na wierzchu puchu sięgała Kairze do kolan; zapadaliśmy się w nią, brnąc przed siebie i potykając się od czasu do czasu. Czerwone słońce pośród czerwonych chmur wydawało się pozbawione konturów, jakby pękło i zalało nieboskłon przydymioną purpurą zmieszanej z żuzłem krwi.

Było duszno, w powietrzu nie czuło się świeżości śniegu, tylko smak kurzu. Pamiętam, jak Kaira, która przecierała szlak, odwróciła się do mnie: pot błyszczący nad jej górną wargą, niepokój w oczach. Sądząc po niebie, można by pomyśleć, że nadchodzi koniec świata, powiedziała, na co ja odparłem, że my nie musimy patrzeć w górę, my wiemy.

Dźwigałem zawiniętą w płótno Chirę, jej głowa spoczywała na moim ramieniu wystarczająco wysoko, bym nie musiał spoglądać dziewczynce w twarz. Kiedy poprawiałem uchwyt, poczułem na szyi musnięcie ust. Były zimniejsze niż lód, tak zimne, że miejsce, którego dotknęły, zdawały się pozbawiać resztek ciepła, pozostawiając płat martwej skóry.

Pewnych rzeczy się nie zapomina.

Mieliśmy na sobie nasze najlepsze ubrania, bo tak postanowiła Kaira, a z nią się nie dyskutowało. Dziewczęta włożyły spódnice, które teraz mokre, lepiły się do tydek. Spoceni, to rozpinaliśmy, to znów zapinaliśmy kurtki, gdy tylko zawiał wiatr. A przynajmniej inni tak robili, bo ja, niosąc Chirę, nie mogłem sobie pozwolić na podobny luksus. Sura skaleczyła dłoń o ostrą krawędź zmarzliny i oszołomiona, ssła ranę.

Dotarliśmy na plac Zegarów Wodnych, gdzie Kaira wybrała dom: kilkunastopiętrowy, z konstrukcją przedstawiającą zakochane gołąbki, które z dzióbka do dzióbka podawały sobie ziarna. Nie wiem, dlaczego spodobał jej się właśnie ten, nie pytałem. Podejrzewałbym specyficzne poczucie humoru, ale przecież to była Kaira.

Może nie znałem jej tak dobrze, jak mi się wydawało.

Zaniostem Chirę na ostatnie piętro. Tym razem Kaira uzasadniła swój wybór. Powiedziała, że dziewczynka powinna być bliżej nieba.

Dziecko wyglądało bardzo krucho na łóżku w ośmiokątnej sypialni, której srebrne ściany zdawały się emanować morderczym chłodem lodowych bloków. W czasie marszu płótno rozwinęło się, poprawiłem je więc, zastaniając wprasowany w ciało, zgnieciony półpancerz.

Chira wyskoczyła z okna i przez krótką chwilę unosiła się w powietrzu, trzepocząc bezużytecznymi skrzydłami. Potem runęła na bruk przed Archiwum. Aktorzy, którzy widzieli jej śmierć, a później zabrali zwłoki, próbowali zdjąć zwierzkształtną zbroję, jednak nie zdołali – fragmenty napierśnika wbiły się tak głęboko, że rozerwały żebra i serce. Ograniczyli się więc tylko do odcięcia potamanych skrzydeł, by dziewczynkę łatwiej było nieść.

Pamiętam przekazywaną z rąk do rąk notkę, niezrozumiałe dla postronnych bazgroły na kawiarńskiej serwetce, zatłuszczonej i lepiącej się do palców.

Pewnych rzeczy się nie zapomina.

Byliśmy zmęczeni, nagromadzone w czasie marszu ciepło ulatniało się z każdym oddechem, a my szybko zaczęliśmy dygotać. Wszyscy poza Kairą, która wyjęła z kieszeni plik kartek zapisanych drobnym, uczniowskim pismem i zaczęła czytać.

To były fragmenty nieużywanych już rytuałów pogrzebowych, urywki z Księgi Przejścia i Ballady o Umieraniu Hanardana Młodszego, kilka wersów z wiersza Łaskawa Dulali Rajsy oraz coś, co brzmiało jak kawalek sztuki, ale nie potrafiłem jej rozpoznać. Przedziwne miszmasz, puste, martwe słowa przywołujące coś, co od dawna nie istniało.

To nie miało prawa zadziałać, a jednak zadziało, zdarzył się cud i tamtego mroźnego ranka przeszłość została na kwadrans wskrzeszona. Czulem ją, wszyscy ją czuliśmy, kilkanaście maleńkich, szczękających zębami ogniw łączących minione pokolenia z nadciągającym końcem świata, grupa ludzi, których życiu – a także śmierci, nie zapominajmy o niej – na chwilę przywrócono sens.

Kaira potrafiła robić takie rzeczy.

# 1

Gdy wracali, Finnen dyskretnie chwycił Kairę za łokieć i zaczekał, aż zostaną z tyłu. Być może nie była to najlepsza chwila, by zadać dręczące go pytanie, uznał jednak, że lepszej może nie znaleźć. Chira została złożona na wieczny spoczynek – a przynajmniej spoczynek do najbliższego Skoku; wrażenie z pogrzebowego rytuału już zacierało się w pamięci. Najwyższa pora wrócić do teraźniejszości.

– Tam, w Archiwum – powiedział – ktoś nam pomógł. Masz pojęcie, kto to mógł być?

– Nie.

– Jakiś pomysł? Cokolwiek?

– Myślałam, że to jeden z twoich przyjaciół artystów.

– Gdyby tak było, wiedziałbym o tym.

– No to nie mam pojęcia.

– On miał broń palną, Kairo. Miał broń i wszedł z nią do Archiwum. To nie mógł być zwyczajny człowiek.

– W takim razie kto?

– Nie wiem i to właśnie mnie martwi. – Finnen potrząsnął głową. Przypieszyli, bo dzieci znacznie już ich wyprzedziły.

— Czemu? Przecież jest po... naszej... stronie. — Kaira próbowała dotrzymać mu kroku, lecz długa spódnica skutecznie krępowała ruchy. — Dlaczego ty we wszystkim musisz widzieć problem?

— Może dlatego — podsunął — że ty nie widzisz problemu w niczym?

## 2

O godzinie 9.52 czasu pokładowego oficer łącznikowy „Arki Odrodzenia” odebrał wiadomość.

Tasos Hairetis był wówczas na mostku sam, na wpół uśpiony przez monotony szum wentylacji i popiskiwanie radaru krótkiego zasięgu. Dźwięk otwierającego się kanału komunikacyjnego wyrwał go z odrętwienia.

Łokciem trącił styropianowy kubek po kawie, po czym – wciąż jeszcze nie do końca przytomny – odruchowo schylił się i chwycił go, zanim naczynie spadło na ziemię. Resztką brunatnego płynu chlapnęła mu na przegub i zaczęła wsiąkać w rękaw. Strząsnął krople na podłogę, po czym wytarł dłoń w spodnie, pocieszając się myślą, że w jego przypadku plama i tak nie ma znaczenia. Dziwnym trafem szczupły, nerwowy Hairetis zawsze, nawet w świeżo wypranym i wyprasowanym mundurze, wyglądał bowiem na wymiętego jak po nieprzespanej nocy, co podkreślała jeszcze jego szara cera i przekrwione oczy.

Odstawił kubek w bezpieczne miejsce i dopiero teraz spojrzął na ekran.

Wiadomość nadeszła na kanale trzecim, zarezerwowanym dla ścisłego dowództwa statku. Hairetis wbił kod, poczekał na potwierdzenie i przeczytał tekst.

Zrobił to raz, a potem drugi, choć informacja była stosunkowo prosta.

Konieczna modyfikacja planów i zmiana kursu. W pasie Argyle'a odkryto planetę ziemskiego typu, potencjalnie interesującą, ze śladami cywilizacji, być może wciąż zamieszkaną. Zebrać jak najwięcej materiałów, potem kontynuować misję. Uwaga: prawdopodobne zagrożenie, przed stu trzydziestoma dwoma standardowymi dniami zagięły tam trzy osoby z załogi statku handlowego T-13 „Optymista”. Bezpośredni kontakt z powierzchnią tylko w razie konieczności i przy zachowaniu maksymalnych środków bezpieczeństwa.

Poniżej następowała lista koordynatów, obliczenia wektorów ciągu, opis wejścia na nową trajektorię i wytyczne manewrów zmiany prędkości, a nawet przeliczenia paliwowe.

Hairetis przeleciał po nich wzrokiem.

Co, u licha...?, pomyślał. Przecież stracimy przez to prawie miesiąc!

Z drugiej strony, cóż to jest miesiąc dla półtora tysiąca zahibernowanych ludzi? Dla zamrożonych zwierzęcych embrionów, nasion i pogrążonych we śnie aniołów-cieni?

Tyle, co nic, a „Arka Odrodzenia” w swojej drodze na Ziemię przelatowała stosunkowo blisko pasa Argyle'a. Doskonała okazja dla Dowództwa Sił Powietrznych Kerberos, by dokonać rozpoznania bez konieczności zawsze kosztownego wysyłania osobnego zespołu badawczego.

Miesiąc, pomyślał Hairetis, nie po raz pierwszy żałując, że nie jest jednym ze szczęśliwców, którzy spoczywali w komorach hibernacyjnych. „Arka” na dobrą sprawę mogłaby dotrzeć na Ziemię sama i dopiero przy lądowaniu potrzebna by jej była pomoc ludzkich pilotów, Dowództwo jednak postanowiło, że przez cały lot na statku pozostanie szkieletowa załoga: cztery

osoby niemające do roboty nic prócz tego, by przez trzy miesiące wpadać na siebie nawzajem, nudzić się i kłócić, kiedy zawiodą rozkosze wirtualnego seksu, wspinaczki po najwyższych budowlach Nowych Ziemi czy nurkowania z neodelfinami.

Cztery osoby, którym w razie potrzeby można było wysłać wiadomość „do ścisłego dowództwa”, szyfrowaną, choć na pokładzie pozostało wyłącznie ścisłe dowództwo.

Trzy miesiące, teraz rozciągnięte do czterech.

Była to ostatnia rzecz, na jaką Hairetis miał ochotę. Nie z powodu antypatii do reszty załogi, bo swych towarzyszy niedoli wciąż jeszcze lubił – być może z naciskiem na „jeszcze” – lecz dlatego, że kolejna zwłoka groziła całkowitym wygaśnięciem entuzjazmu.

Pamiętał, jak przed kilkoma laty przyszedł na zebranie Towarzystwa Odrodzenia Ziemi. W kieszeni miał zmiętą ulotkę, lecz mimo że jej tekst znał niemal na pamięć, nie wiedział, czego właściwie powinien oczekiwać. Zaczęło się standardowo: przy wejściu ładna, długonoga blondynka (nie do odróżnienia od innych długonogich blondynek) wpięła mu w koszulę zielony znaczek i podała kieliszek szampana. Na sali było mnóstwo uśmiechnętych, wyluzowanych ludzi w koszulach z prawie-jedwabiu, którzy najwyraźniej świetnie się znali. Potem przyszła pora na przemówienia, holoprezentacje i symulację odbudowy Jerozolimy. Tasos Hairetis był wśród tych, którzy klaskali najgłośniej, a nim wieczór dobiegł końca, wpłacił swoją pierwszą składkę.

Pół roku później należał już do najbardziej aktywnych członków Towarzystwa. W przeciwieństwie do większości koleżanek i kolegów nie kierowały nim względy religijne, nie nęciły go hasła „Ratujmy kulebkę chrześcijaństwa” czy „Odbudujmy Ziemię, po której chodził Bóg”. Bogowie niewiele Hairetisa obchodzili, za to historia – owszem.

Jeśli istniała jakakolwiek szansa, choćby najmniejsza, że na zniszczonej planecie znów rozwinie się życie, a później, dzięki

wspólnemu wysiłkowi ludzi oraz aniołów-cieni, na właściwe miejsca wróćą odtworzone w najdrobniejszych detalach Bazylika św. Piotra, Tadz Mahal czy Wielki Mur Chiński, to Hairetis gotów był zrobić wiele, by owa wizja się urzeczywistniła.

Pamiętał, jak Towarzystwo zostało wpisane na listę organizacji starających się o środki na podróż międzygwiazdą oraz zasiedlenie. Świętowali wówczas przez całą noc, w coraz gorszych knajpach, aż wreszcie gdy wyrzucili ich z ostatniej, na moście Nicodemusa Tasos wspiął się na kamienny posąg lwa, upuszczając po drodze butelkę. Sznur światła wzdłuż Pałacu Sprawiedliwości rozmazywał mu się przed oczami, woda sprawiała wrażenie bardzo dalekiej i zarazem bliskiej, on sam wrzeszczał „Za Ziemię!”, podczas gdy dwadzieścia metrów niżej dziewczyna, która miała zostać jego żoną, wymiotowała na własne buty. Nigdy nie czuł się tak całkowicie szczęśliwy, tak spełniony i żywy, jak tamtej nocy.

Potem jego zapał zaczął maleć, dzień po dniu, jak dziurawy worek, z którego wysypuje się piasek. Dziesiątki kwestionariuszy do wypełnienia, podpisy do złożenia i urzędnicy do oblaśkawienia – wszystko to powoli zabijało entuzjazm. A może była to po prostu sprawka nieubłagane bieżącego czasu i tego, że gdzieś pośród papierowo-komputerowego chaosu Hairetis niepostrzeżenie wślizgnął się w wiek średni?

Gdy „Arka” startowała, znów poczuł się młody i szczęśliwy, przez chwilę nawet łudził się nadzieją, że tak będzie zawsze. Nie było, oczywiście. Dlatego Tasos Hairetis nie miał ochoty wydłużać podróży o kolejny miesiąc.

Chciał stanąć na powierzchni Ziemi wtedy, gdy to jeszcze będzie mogło przynieść mu satysfakcję.

Skasować wiadomość? Coś takiego mogłoby ująć mu na sucho. Już teraz kwestia, komu właściwie podlega „Arka Odrodzenia”, była bardzo delikatna, a kiedy koloniści wylądują na Ziemi, staną się praktycznie niezależni.



Nikt nie wyciągnie wobec Hairetisa konsekwencji. Jediną osobą, która mogłaby to zrobić, był kapitan Cerniglia, a on stanie po stronie oficera – choć, rzecz jasna, nie domyśli się, jaka była prawdziwa przyczyna tej niesubordynacji.

Skasuj to, szeptał wewnętrzny głos, lecz mężczyzna w głębi duszy wiedział, że tego nie zrobi. Niełatwo jest podważyć ponad dwadzieścia lat wpojonego w wojsku posłuszeństwa.

Wciąż tkwił z nieszczęśliwą miną przed ekranem, gdy na mostek wszedł kapitan.

– Mamy wiadomość z Kerberos – powiedział Hairetis pospiesznie, zanim pokusa stałaby się nie do odparcia. – Powinien pan spojrzeć.

### 3

W mieście dało się zauważyć wyraźne poruszenie. Nad schodami krążyli skrzydlaci strażnicy, wszyscy zakuci w chimeryczne zbroje, z pałkami zatkniętymi za pasy i kuszami w opancerzonych dłoniach. Ludzie kulili się pod ich spojrzeniami i przemycali niemal przyklejeni do ścian budynków, lecz kiedy strażnicy mijali ich w szumie metalowych lotek, odwracali się i, bywało, grozili pięściami albo przynajmniej męli w ustach przekleństwa.

– Jednak to zrobili – mruknął Finnen, bo od czasu słynnego napadu krążyły plotki, że Archiwum – specjalnym dekretem prezydenta – zostanie zmuszone do wydania straży wynalazków, które pomogłyby opanować sytuację w mieście.

– Najwyraźniej – szepnęła Kaira, by zaraz, zirytowana własnym lękiem, podnieść głos. – Jak sądzisz, długo to potrwa?

– Nie mam pojęcia.

Na placu Haków zebrał się rozprawiający w podnieceniu tłumek. Zauważywszy to, jeden ze strażników podleciał na szerokich, metalicznie lśniących skrzydłach, które rzucały na bruk cień pikującego orła. Dłoń znacząco zacisnął na rękojeści pałki i zabuczał „Proszę się rozejść”. Potem, wciąż unosząc się w powietrzu, poszukał nowej ofiary, hełm w kształcie lwiej

głowy obracał się w prawo, w lewo, aż wreszcie spojrzenie oczu, widocznych w wąskim pasku przyłbicy, spoczęło na Kairze.

Mierzyl się wzrokiem, strażnik leniwie poruszający skrzydłami i dziewczyna z arogancko uniesionym podbródkiem. Finnen myślał już, że zostaną aresztowani – sama mina Kairy by wystarczyła, nie wspominając o tym, że dwoje dorosłych oraz grupa dzieciaków o zaciętych twarzach, wszyscy mokrzy po kolana, musieli wzbudzać podejrzenia.

Jednak strażnik odwrócił się i odleciał z ociąganiem, oglądając się jeszcze kilka razy za siebie.

– Co ty wyprawiasz? – szepnął Finnen. – Chcesz, żeby zwrócili na nas uwagę?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie mają prawa terroryzować miasta – powiedziała tak głośno, że kilkoro najbliższych stojących ludzi odwróciło się w jej stronę. – Spotykanie się na placach i dyskutowanie to nie zbrodnia.

Podeszła i energicznie zdarła z jednego ze słupów ogłoszeniowych plakat, w którego poprzek biegł napis: „Na czas nieokreślony zabrania się publicznych zgromadzeń większych niż 10 osób”.

Jedna z kobiet odwróciła wzrok, lecz pozostali patrzący nieśmiało pokiwali głowami.

## 4

Ellona tkwiła w jednym ze swoich pokoi, pracowicie układając obok siebie barwne kamyki mozaiki, zamkniętej w rzeźbionych ramach z zimnoroślowego drzewa. Jeden obok drugiego, zieleni do zieleni, błękit do błękitu, róż do różu.

Od czasu do czasu unosiła dłoń, by otrzeć spływające po policzkach łzy, i pociągała nosem. Obraz kwitnącego ogrodu, przez który płynął strumień, zamazywał się jej przed oczami; nie pomagało częste mruganie. Czy omyłkowo nie włożyła niebieskiego kamyka tam, gdzie powinien być różowy płatek astra? A może istnieją astry z jednym płatkem odmiennego koloru?

Zresztą, jakie to ma znaczenie?

Za jej plecami cicho rozsunęły się drzwi. Ojciec – poznała po krokach, że to on – podszedł i kucnął przy siedzącej na posadzce córce tak blisko, że na szyi czuła jego oddech.

Nie odwróciła się.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Źle – burknęła.

– Coś cię boli? – w jego głosie zabrzmiał wyraźny niepokój.

– Może powinniśmy wzmocnić leki...

– Nic mnie nie boli.